

Od Łupi do Parany i Amazonki. Część II.



Juan Griego Puesta del sol

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Druga i ostatnia moja wyprawa do Gujany miała miejsce kilka tygodni później. Tym razem poleciałem samolotem do Ciudad Guayana, miasta powstałego w 1961 roku z połączenia dwóch miast: Puerto Ordaz i San Félix. Tam czekała na mnie młoda przewodniczka, Margaret Fliegelmann i kierowca, oboje z Wenezuelskiej Korporacji Gujany, instytucji powołanej do promocji całego regionu. Niedaleko hotelu, punkt widokowy na ogromny wodospad *Salto de la Llovizna* na rzece Caroní, w niewielkiej odległości od jej ujścia do Orinoko. Jego nazwę można by przetłumaczyć jako „Wodospad Mżącego Deszczu”, co w pełni oddaje rzeczywistość, bo rozpryskujące się masy wody tworzą wokół bezustannie padający drobny deszcz. W programie było nawet zwiedzanie nowoczesnej huty żelaza SIDOR, w specjalnych białych kaskach, a jakże! W pobliżu, w Masywie Gujańskim, znajdują się bardzo bogate złoża rudy żelaznej.



Park La Llovizna

Znacznie bardziej interesowały mnie jednak ruiny kościoła Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia i klasztor Kapucynów Katalońskich, z 1724 roku, w pobliżu miasta San Félix, a nade wszystko nagrania wywiadów z byłymi zbieraczami kauczuku w puszczach gujańskich. Boom kauczukowy rozkwitł w latach 20-tych XX wieku właśnie na tych terenach. W tutejszych lasach rośnie drzewo *purguo* (*Mimusops Balata*), którego sok zwany *balatá* służył do produkcji gumy. Pracę zbieraczy *balatá* opisuje

między innymi Gallegos w swej powieści *Canaima*. Jej akcja rozgrywa się częściowo w miasteczku Upata (odległym o 56 km od San Félix) i jego okolicach. Aż tam dotarliśmy, bym mógł nagrać kilka interesujących rozmów z mieszkańcami pamiętającymi ową kauczukową eksplozję, a także podróż Gallegosa po Gujanie. Ładnie prezentuje się tonąca wśród drzew Upata ze szczytu wielkiej czarnej skały Najświętszej Panny Marii (*Laja de Santa María*).

Pochodząca z rodziny Żydów węgierskich Margaret Fliegelmann wyznała mi na pożegnanie, że bardzo bała się być przewodniczką Polaka, „bo przecież wiadomo jakimi antysemitami są Polacy”. Na co ja: „I co, ja też okazałem się takim antysemitą?”. „Zupełnie nie - odparła - i właśnie dlatego Panu tak szczerze o tym mówię”. Spotkaliśmy się raz jeszcze w Caracas i wręczyła mi w prezencie obszerny wybór opowiadań Cortáзара i *Nie ma kto pisać do pułkownika* Garcíi Márqueza, oczywiście w oryginale. Przy okazji opowiedziała mi, że synowa, a może córka Teodora Delgado, pseudonim *El Mocho* (Bezręki), w mocno zaawansowanej ciąży podczas naszej wizyty i moich nagrań u niego w domu, pod Upatą parę tygodni wcześniej, już urodziła córeczkę, której nadano imię ...*Visitación* (Nawiedzenie), właśnie na cześć naszej wizyty. Margaret dowiedziała się o tym osobiście, gdyż odwiedziła ponownie rodzinę Teodora Delgado jadąc do El Callao, daleko w głębi Gujany.



Wyższy Instytut Pedagogiczny w Caracas

Wszystko, co opisałem w niniejszym rozdziale rozegrało się zaledwie w ciągu trzech miesięcy: w maju, czerwcu i lipcu 1972 roku. W sierpniu byłem pochłonięty załatwianiem pracy w Instytucie Pedagogicznym oraz poszukiwaniem mieszkania dla nas obojga po ślubie. Chodziło o to, by zamieszkać jak najbliżej Instytutu. Udało mi się znaleźć trzypokojowe mieszkanie w sześciopiętrowym budynku o nazwie *El Marqués* (Markiz), przy *Avenida Libertador* (Alei Wyzwoliciciela, czyli Bolívara) na osiedlu *La Paz* (Spokój), w dzielnicy *El Paraíso* (Raj), tej samej, w której znajduje się Instytut Pedagogiczny. I to był jedyny plus, bo ostatnie dwie nazwy własne miały, jak się potem okazało, bardzo niewiele wspólnego z rzeczywistością, a zarówno ów Markiz, jak i Wyzwoliciel pewno wiecznie przewracają się do dziś w grobie na myśl, że spotkał ich wielce wątpliwy zaszczyt w owej oazie „rajskiego spokoju”. Nigdy w życiu nie mieszkałem w bardziej hałaśliwym miejscu!

Rosario przyleciała do Caracas w pierwszych dniach września, a ślub odbył się 21 września 1972 roku w dzielnicowym Urzędzie Stanu Cywilnego San José, w starej, handlowej części miasta. Świadkami byli Doña Luisa i pan Lech Adamowicz, zamieszkały w Caracas od wojny weteran bitwy pod Monte Cassino, ożeniony

z Włoszką, panią Laurą. Był mi bardzo życzliwy i dość regularnie oferował mi pracę tłumacza na hiszpański głównie swych własnych tekstów dotyczących żeglarstwa i rybołówstwa. Były też na ślubie Olivia i Josefina Falcón i jeszcze parę osób z Instytutu Pedagogicznego. W urzędzie było więc luźno i przewiewnie, a mimo to były na mnie siódme poty i czułem się w tych okolicznościach wybitnie nieswój.

Na prośbę nieobecnego Eduarda jego mama, doña Eva Gascue de Tamayo, urządziła dla nas i naszych gości przyjęcie poślubne u niej, czyli w domu Eduarda, pięknej willi *Cártama* (nazwa andaluzyjskiego miasteczka koło Malagi), przy Alei Róż w bardzo eleganckiej dzielnicy San Rafael de la Florida. Zaszczycił nas swą obecnością Ambasador PRL-u, bardzo kulturalny pan Witold Jurasz (1931-2004). Była też moja koleżanka ze studiów w Warszawie, Hanka Miaziowna, od kilku lat zamieszkała w Wenezueli. Byli świadkowie, a pozostałe osoby obecne to bliższa i dalsza rodzina Eduarda. Poza Doñą Evą rolę gospodyni pełniła także siostra Eduarda, Beatriz, biegając z tacą pełną kanapek i roznosząc napoje. W pewnym momencie zatelefonował z Rzymu Eduardo z życzeniami. Pośpiewaliśmy trochę i w asyście Doñii Ewy odjechaliśmy do naszego mieszkania samochodem wypełnionym po brzegi wielkimi bukietami i koszami kwiatów, które nam sprezentowano, w tym głównie przepięknych orchidei. Gdy tak mknęliśmy nocnymi ulicami Caracas, milczenie przerwała Doña Eva, która siedząc obok kierowcy, nagle

odwróciła się ku nam i dobitnie podsumowała całe wydarzenie: „Żeby Hiszpanka przyjechała do Wenezueli po to, aby wyjść za mąż za Polaka, to już szczyt wszystkiego!”



Bogota

Nazajutrz wybraliśmy się w ośmiodniową podróż poślubną do sąsiedniej Kolumbii. Z żalem zostawiliśmy w mieszkaniu morze wonnych kwiatów i rano ruszyliśmy „zbiorową taksówką” (*carrito por puesto*) ku odległej granicy kolumbijskiej. Podróż była długa i męcząca. Po około 10 godzinach dotarliśmy do przygranicznego miasta Cúcuta, leżącego już w Kolumbii. Miejsce owo zaiste nie przedstawiało sobą nic godnego uwagi: jakieś budy, kramy, gdzie kwitnie przygraniczny handel, kurz, góry śmieci. Po Kolumbii podróżowaliśmy głównie samolotem i pierwszym etapem była stolica kraju, Bogota, wówczas dwumilionowe miasto usytuowane na wysokości 2.600 m, u stóp Andów Wschodnich, na skraju ciągnącej się na przestrzeni 130 km wyżyny śródandyjskiej zwanej *Sabana de Bogotá* (Bogotańska Sawanna). Zaskoczył nas stosunkowo chłodny klimat (średnia temperatura tylko 14 stopni Celsjusza) i prawie stale pochmurne niebo. Ze względu na częste opady zieleń otaczających miasto wzgórz była pod koniec września bardzo intensywna.

Choć od 1739 roku była stolicą Wicekrólestwa Nowej Grenady i jednym z najważniejszych miast kolonialnego imperium Hiszpanii, nie zachowało się w niej dużo zabytków z tamtej epoki, choć, oczywiście, jest ich więcej, niż w Caracas. Spośród nich najwspanialszym wydał mi się barokowy kościół *La Tercera* (Trzeciego Zakonu św. Franciszka) o bardzo bogatym wnętrzu. Jednak te nieliczne zabytkowe budowle giną wśród dość gęstego lasu wieżowców śródmieścia i nie tworzą żadnego zwartego zespołu, który można by nazwać Starym Miastem (poza dzielnicą *La Candelaria*). Na ulicach zwracają uwagę Indianie odziani w czarne lub szare poncza. Indianki noszą głównie szare kapelusiki. Mało tu natomiast ludzi pochodzenia afrykańskiego, jak zresztą we wszystkich innych wysoko położonych miastach andyjskich.

Niepowtarzalne wrażenie wywiera wizyta w tutejszym Muzeum Złota, należącym do Banku Narodowego Republiki. Zgromadzono w nim ponad 10 tysięcy wspaniałych ozdób ze złota i srebra: wisiorków, bransolet, napierśników, diademów, ozdób nosa, uszu i nóg, masek, kolczyków, a także posążków indiańskich królów i bożków oraz płaskich *tunjos*, czyli postaci wotywnych. Jednym z najciekawszych i najbardziej charakterystycznych eksponatów jest słynna miniaturowa tratwa ceremonialna przedstawiająca wystrojonego kacyka i jego sługi. Widzimy też naczynia, łyżki, spinki, szczypce. Efekt jest nadzwyczajny, bo zwiedzający przechodzą kolejno do nieoświetlonych sal i po

chwili zapalają się mocne światła w gablotach, w których umieszczone na czarnym aksamicie złote i srebrne ozdoby połyskują nieprawdopodobnie pięknym blaskiem! Taironowie (*taironas*), Czibczowie (*chibchas*) zwani też Mwiskami i Kimbajowie (*quimbayas*) byli przed Kolumbem znani z wyrafinowanych wyrobów ze złota i srebra, a ich kulturę określa się jako „złotą”. To, co pozostawili po sobie i co tak wspaniale wyeksponowano w bogotańskim Muzeum Złota wzbudza najwyższy zachwyt i uznanie dla tych indiańskich artystów, którzy już przed wieloma wiekami znali przeróżne techniki obróbki złota i jego stopów.



Museo del Oro, Bogota



Museo del Oro, Bogotá

Było jeszcze Muzeum Sztuki Kolonialnej, Wodospad *Tequendama*, 28 km od Bogoty i kopalnia soli w Zipaquirá, 50 km na północ od miasta. Wodospad rozczarował nas zupełnie, bo choć spada w głębokim kanionie z wysokości 145 metrów, okazał

się wówczas dość wąską i na dodatek mocno cuchnącą strużką wody. Kopalnia soli imponuje wielkimi rozmiarami i wykutą w jej wnętrzu katedrą z godnymi uwagi ołtarzami rzeźbionymi w solnej skale. Kolumbijczycy podkreślają z dumą, że to jedyna taka katedra na świecie. Gdy próbowałem zaprzeczyć wymieniając Wieliczkę, przewodnik, korpulentny starszy pan, uciął krótko: „No tak, ale Wieliczka jest o wiele mniejsza”. I tu musiałem przyznać mu rację.



Santa Marta. Kolumbia

Z Bogoty poleciliśmy do Santa Marta, jednego z większych miast nad Morzem Karaibskim i zamieszkaliśmy tuż nad nim, w Hotelu Irotama, 14 km na zachód od miasta. Wynajętym jeepem

dotarliśmy do trzech ciekawych miejsc w okolicy: 1. Willi San Pedro Alejandrino, gdzie w 1830 roku zmarł Simon Bolivar. Przekształcono ją w jego muzeum, w którym zgromadzono meble, mundury, dokumenty. Na dziedzińcu, nad pomnikiem Bolivara, rośnie ogromny, rozłożysty *samán* (*Samanea Saman*). 2. nad piękną zatokę Bahía Villa Concha w kształcie wielkiej półkolistej muszli, jak sama hiszpańska nazwa wskazuje. 3. do zamieszkałej przez Indian wioski rybackiej Taganga, położonej u stóp urwistych skał. Nad wspomnianą zatoką znajduje się jedna z piękniejszych plaż, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. Niezwykle przejrzysta szmaragdowa woda pozwala na łowienie ryb ręką – sic! Zdarzyło mi się to tylko tam: chwyciłem pod wodą rybę flet (*pez flauta, Aulostomus maculatus*), którą zaraz zresztą wypuściłem z powrotem. Wokół wysokie wzgórza porośnięte niskimi drzewami i krzewami. Cała ta wycieczka do Bahía Villa Concha i do Tagangi, jazda jeepem przez cienisty tropikalny las to był z pewnością najprzyjemniejszy punkt programu całej wyprawy do Kolumbii.



Taganga

Z Santa Marta autobusem dotarliśmy do największego miasta kolumbijskiego nad Morzem Karaibskim, 600-tysięcznej wówczas Barranquilli. Po drodze wielkie rozlewiska Parku Tairona, usiane wystającymi z wody suchymi pniami i korzeniami martwych mangrowców. Barranquilla, ruchliwe, przemysłowo-handlowe miasto, nie oferuje zbyt wielu atrakcji turystycznych, ale stąd już blisko do Bocas de Ceniza, czyli Popielatej Paszczy. Tak nazywa się ujście największej kolumbijskiej rzeki Magdaleny,

która przecina cały kraj z południa na północ na długości 1350 km. W pobliżu Barranquilli wpada do Morza Karaibskiego i niesie ze sobą tyle szarej wody, że cały jej bezkresny zalew ma taki właśnie popielaty kolor.



Cartagena de Indias

Lot z Barranquilli do Cartagena de Indias trwa pół godziny i ani się obejrzeliśmy, jak znaleźliśmy się w tym arcyciekawym kolonialnym mieście otoczonym siedemnastowiecznymi murami obronnymi, bastionami i systemem fortec, z których najpotężniejsza, przypominająca jakąś wielką piramidę, zwie się *Castillo de San Felipe de Barajas* (Zamek św. Filipa z Barajas) na cześć królów hiszpańskich o tym imieniu. To głównie za panowania Filipów II, III i IV wzniesiono te potężne fortece, które broniły hiszpańskich portów w Ameryce przed atakami piratów i korsarzy, a potem także przed atakami floty angielskiej, francuskiej i holenderskiej. Cartagena de Indias była jednym z najważniejszych portów hiszpańskich w okresie kolonialnym i jednym z najbogatszych miast Ameryki. Właśnie tu przywożono z Afryki niewolników do pracy na plantacjach. Wielu ich potomków mieszka w pasie wybrzeża karaibskiego, ale i nad Pacyfikiem. Wytworzyli specyficzną kulturę, pieśni, tańce, z których najbardziej znany w okolicach Cartageny nazywa się *cumbia*, szybki, zmysłowy, rytmiczny, tańczony przy blasku świec. Mieliśmy okazję przyjrzeć się, jak tańczono *cumbię* wieczorem na plaży. Słowa są, oczywiście, hiszpańskie.



Cartagena

Sporo zostało jeszcze z dawnej świetności Cartageny. Wszędzie w starej części widać ślady architektury i sztuki kolonialnej, o wyraźnych cechach mauretańskich: pięknie toczony w drewnie okienne kraty, belkowe sklepienia, przezarte obecnie morską solą niczym liszajami blanki, wieże strażnicze na murach. Wzrok wabią stare latarnie na rogach wąskich uliczek, łuki, arkady, dziedzińce klasztorne, wspaniała kopuła i obie bliźniacze wieże osiemnastowiecznego kościoła św. Piotra Clavera, patrona ludności kolorowej. Najciekawszy jest chyba Pałac Inkwizycji z

1610 roku, z interesującym głównym portalem w stylu baroku kolonialnego, ozdobionym insygniami monarchii hiszpańskiej. Wewnątrz cieniste patia z ustawionymi działami i stosami kul armatnich, a w muzeum narzędzia tortur Świętej Inkwizycji. Na ścianie frontowej piękne drewniane balkony o dachach wspartych na smukłych kolumnkach. Belki pod dachami i na spodzie balkonów otoczonych od ulicy misternie cyzelowaną drewnianą balustradą. Czy może być wdzięczniejsza architektura pod tym rozżarzoną do białości niebem? Tak, bo niebo już nie jest tutaj błękitne, lecz białe od żaru słonecznego.



Cartagena de Indias

Cartagenę zapamiętałem jako jedno z najbardziej upalnych, może wręcz najbardziej upalne miejsce, w jakim zdarzyło mi się przebywać kiedykolwiek. Zaduch był nieziemski, a przecież miasto leży nad samym morzem. Cóż z tego! Morze z murów obronnych wyglądało jak szeroko rozlana zupa niemal buchająca

gorącą parą! Nie czuło się ani odrobiny jakiegokolwiek ożywczego powiewu od strony morza! Rosario, widząc tyle śladów niegdysiejszej potęgi Hiszpanii, dostała w Cartagenie ataku nostalgii za daleką ojczyznę. Jej też doskwierał upał. Oboje na zdjęciach wyglądamy jak skwierczące na oliwie, nieźle już podsmażone krewetki.

Odnaleźliśmy też - a jakże! - pomnik Starych Butów (*Monumento a los Zapatos Viejos*), z kamienną płytą, na której widnieje tekst ody poświęconej w 1928 roku miastu. Jej autor, Luis Carlos López, poeta kolumbijski rodem właśnie z Cartageny, pisze w tym wierszu, że choć dawna chwała przeminęła, miasto wzbudza takie same ciepłe uczucia jak para starych butów. Jeden z tych butów stoi, a drugi leży na boku, niby niedbale porzucony w kącie. Oboje z Rosario uznaliśmy, że - niezależnie od tej całej metafory - to piękny pomysł wybudować pomnik starym butom.



Cartagena, Forteca Św. Filipa z Barajas, pomnik Starych Butów.

Cartagena była ostatnim etapem naszej podróży po Kolumbii. Gdy wróciliśmy po tygodniu do Caracas, przywitał nas w domu ostry zapach doszczętnie zeschniętych kwiatów, w niczym nie przypominających tych wspaniałych bukietów wręczonych nam

po ślubie. 2 października 1972 roku zacząłem moją pracę w Wyższym Instytucie Pedagogicznym. Prowadziłem seminarium z leksykografii hispanoamerykańskiej w Zakładzie Języka Hiszpańskiego, Literatury i Łaciny. Moim bezpośrednim szefem był językoznawca Luis Quiroga, bardzo poczciwy i uczynny człowiek, wówczas w średnim wieku (zmarł we wrześniu 2012). Z nim właśnie dzieliłem *cubículo*, czyli pokój oddzielony od innych tylko przepierzeniami i bez sufitu. W tym samym „gabiniecie” pracował jeszcze młody lingwista Luis Flores. Czasami przychodzili sprzedawcy nabiału i stając na szczycie schodów wołali ponad przepierzeniami do siedzących wewnątrz: „Panie psorze, może kupi pan śmietanę? Mam świeżutką śmietanę!”. Musiałem mieć wyjątkowo zakłopotaną minę, gdy pierwszy raz usłyszałem takie nawoływanie, bo profesor Quiroga z uśmiechem zapytał: „Pewno w Europie nie ma takich zwyczajów?”

Zajęcia odbywały się dość nieregularnie z powodu częstych strajków oraz starć między studentami a policją. Bywało, że aby wejść do budynku Instytutu trzeba było bardzo uważać, aby nie dostać kamieniem. Ich grad spadał na nacierających policjantów, którzy odpowiadali studentom rozpylając obficie gazy łzawiące. Parę razy zdarzyło mi się przebiegać pośrodku całej akcji. Takie ruchawki były w akademickim żargonie nazywane *zaperoco* lub *bochinche* i pojawiały się w zdaniach typu: „Wczoraj znów było ogromne *zaperoco!*” albo „Uważaj, bo przed Instytutem dziś

wielkie *bochinche!*” Można by to przetłumaczyć jako „rozróżba”, „draka”. Kiedyś, na samym początku pracy, postanowiłem zlekceważyć te zajścia i zbojkotować strajk. Nalegałem, by zajęcia się odbyły, na co moje studentki, zasłaniając sobie nosy i usta chusteczkami, wołały jedna przez drugą: „Nie, panie psorze! Nie! To bardzo niebezpieczne! Uciekajmy!” Dopiero później ktoś mnie uświadomił, że one miały rację. Otóż takiego właśnie łamistrajka, który uparł się, by przeprowadzić zajęcia, zastrzelono przez okno w trakcie wykładu...



Jacaranda filicifolia

Po kilku nieudanych próbach ze sprzedażą książek po domach, Rosario uległa moim namowom i zaczęła pracować w Ambasadzie PRL jako sekretarka ówczesnego attaché handlowego, pana Mikołajczaka. Niewielkie to były zarobki, ale przynajmniej pewne, a i atmosfera w pracy była dla niej przyjemna. Najgorsze okazały się dojazdy kilkoma autobusami. Traciła na nie dwie godziny w jedną stronę. Wracała często mocno wyczerpana. Ja miałem znacznie bliżej. Od biedy mogłem pójść piechotą, co trwało około 40 minut. De facto często wieczorem wracałem pieszo, natomiast taki spacer w ciągu dnia w upale, zgiełku ulicznym i w kłębach spalin nie był zgoła atrakcyjny. Raz gdy przybiegłem na przystanek autobusowy koło domu, ku mojemu zdumieniu ujrzałem wijące się po chodniku dwa stosunkowo niewielkie srebrzyste węże. Wyglądało, jakby właśnie niedawno się urodziły. Niestety, nadjechał mój autobus i wsiadając doń dostrzegłem jakiegoś malca ciskającego w nie kamieniami...

W listopadzie odwiedziła nas pracująca w Hiszpańskich Liniach Lotniczych „Iberia” kuzynka Rosario, Maribel. Wynajętym samochodem pojechaliśmy z nią do kilku interesujących miejscowości, wśród nich do opisaney wyżej niemieckiej wioski w górach, Colonia Tovar i na plażę w Ocumare de la Costa, około 100 km na zachód od Caracas. Morze jest tam otwarte i mocno rozfalowane, a poza tym wciąga w głąb i bardzo trudno wyjść z wody. Jakoś mi się to udało, ale ... bez kąpielówek: fala, która

mnie nakryła tuż przy wyjściu, była tak silna, że odpływając, ściągnęła mi je bezwstydnie. Wypłynęły po chwili na brzeg, parę metrów obok. Wielkie wrażenie robi przejazd przez tak zwaną „dżunglę zamgloną” (*selva nebulosa* lub *nublada*) w górach, na obszarze Parku Narodowego Rancho Grande imienia wielkiego szwajcarskiego botanika Henri Pittiera, który jako pierwszy sklasyfikował poszczególne gatunki flory wenezuelskiej. Mgła wisi nad tą dżunglą prawie stale. Wyłaniające się spoza tej mlecznej zasłony potężne pnie i konary drzew, wysokie paprocie i inne zarośla tworzą wyjątkowo baśniową i tajemniczą dekorację, na którą nie mogłem się napatrzeć!



Los Llanos, Venezuela

Wciąż myślałem o powrocie na moje Wielkie Równiny i jakoś mniej więcej w tym okresie wybrałem się sam do stolicy stanu Guárico, San Juan de los Morros, gdzie odwiedziłem Dom Kultury, a potem dotarłem w okolice El Sombrero i pewien przypadkowo spotkany farmer argentyńskiego pochodzenia oprowadził mnie trochę po swoich włościach. To wtedy zobaczyłem na gałęzi drzewa długiego, intensywnie zielonego pięknego węża, który w Wenezueli zwany jest *verdegallo*,

verdegay (zieleniec) albo *lora* (zielona papuga), a jego łacińska nazwa brzmi *Leptophis ahaetulla*. Osiąga prawie dwa metry długości i nie jest jadowity.

Kolejnym razem namówiłem Rosario i pojechaliśmy we dwoje w tym samym kierunku. Z Caracas do El Sombrero w Górnym Guárico jest bądź co bądź 226 km, więc tłukliśmy się prawie cały dzień częściowo autobusami, a częściowo autostopem i do El Sombrero dotarliśmy wieczorem. Wypadało spędzić gdzieś noc. Nie mieliśmy wyboru: w El Sombrero był tylko jeden hotel i to bez klimatyzacji. Noc okazała się straszliwą męczarnią. Wydawało nam się, że się udusimy, taki był zaduch. Jeszcze dziś robi mi się słabo, gdy sobie tę noc przypomnę. Tu wyjaśniam: u nas w domu też nie było klimatyzacji, ale Caracas położone jest wysoko i noce nie są upalne. Na Równinach sytuacja jest zgoła odmienna: gorąco jest i w dzień i w nocy.



Los Llanos

Nazajutrz, pokonawszy kolejne 86 km na południe, zjawiliśmy się w Calabozo. Ktoś nas poinformował, że w pobliskim El Rastro, 20 km na północ, jest festyn ludowy i w programie między innymi walka kogutów oraz *coleada*, czyli pogoń jeźdźców na koniach za bykiem i powalenie go na ziemię poprzez odpowiednio silne pociągnięcie za ogon. Tyle słów po polsku, a po hiszpańsku wystarczy *coleada* („ogonitwa” ?) i każdy doskonale wie, o co chodzi! W miarę szybko dostaliśmy się do El Rastro i udało nam się obejrzeć oba widowiska. Walka kogutów odbywa się w specjalnym okrągłym budyneczku zwanym *gallera* („koguciarnia”). Pośrodku jest mała arena, na której walczą

zawsze po dwa koguty, specjalnie hodowane i przygotowane do walki. Mają też pióra powyrywane na nogach i pod skrzydłami i odpowiednio długie ostrogi. Publiczność, głównie męska, siedzi amfiteatralnie wokół areny. Podniecenie ogromne, zakłady, dopingujące okrzyki, a biedne koguty dziobią się zawzięcie do krwi i często jeden z nich ginie. Niestety, jest to nadal ulubiona rozrywka latynoamerykańskich wieśniaków, zwłaszcza popularna w Meksyku i całym basenie Morza Karaibskiego.

Znacznie ciekawsza jest *coleada*, bo przynajmniej wymaga ogromnej zręczności, siły i umiejętności zawrotnie szybkiej jazdy na koniu. Wygląda to tak: do podłużnego okólnika (*la manga*) - około 300 m długości na 50 m szerokości - wpuszcza się byka, za którym pędzi 4 - 5 jeźdźców na koniach. Każdy z nich usiłuje chwycić byka za ogon i powalić go. Byk, dobiegłszy do końca okólnika, zawraca i pościg trwa dalej. Publiczność siedzi na trybunach lub po prostu na ogrodzeniu po obu stronach toru gonitwy - „ogonitwy”.



Korkoran

Oba te wypadu na Równiny w stanie Guárico podyktowane były także chęcią zebrania materiału językowego z tego obszaru. W pełni udało się to jednak dopiero w pierwszej połowie grudnia, kiedy to kolega z Instytutu, wykładowca literatury latynoamerykańskiej, Buenaventura Piñero, zorganizował nam wyjazd do hacjendy swego teścia, arcysympatycznego pana Rafaela Carvallo. Hacjenda zwie się El Punzón i znajduje się 84 km na południowy wschód od El Sombrero. Zajechaliliśmy tam

super wygodnym samochodem Buenaventury, który po drodze w San Juan de los Morros zabrał Carmencitę, siostrę swojej żony. Jakież komfort w porównaniu z tymi ostatnimi dwiema podróżami! Zdaje się (tak, raczej na pewno!), spędziliśmy tam jedną noc w hamakach rozwieszonych w przewiewnym pomieszczeniu, pod dachem krytym strzechą z liści palmowych. Dach wsparty na krótkich filarach osadzonych w murze sprawiał, że cyrkulacja powietrza była właściwa.

Pobyt okazał się bardzo pracowity. Dosłownie w pocie czoła eksploatowałem obu moich rozmówców, albowiem na moje liczne pytania odpowiadali zarówno właściciel hacjendy, pan Rafael Carvallo, jak i jego pomocnik, Don Claro. Także Buenaventura asystował przy ankietach i wielokrotnie pomagał mi w ich realizacji.

Rosario w tym czasie albo obsługiwała magnetofon, albo gawędziła beztrosko z Carmencitą. Jediną przerwą była wyprawa do *morichalu*, który moi wspaniali gospodarze postanowili mi pokazać (słowo to pojawiło się parokrotnie w ankietach). *Morichal* to typowy dla Równin lasek w zagłębieniach sawanny. Wśród drzew przeważa palma zwana *moriche* (*Mauritia flexuosa*). Z lasku zwykle wypływa strumyk, który także nosi nazwę *morichal*. Pora sucha, która zwykle zaczyna się w październiku, była jednak już tak zaawansowana, że strumyk zanikł. Przy drodze, w spalonej słońcem wysokiej żółtej trawie

wygrzewały się dwa wielkie zielono-szare legwany (*Iguana iguana*) z najeżonym na grzbiecie grzebieniem. Swym niesamowitym, dość szpetnym wyglądem przypominały jakieś prehistoryczne jaszczury.



Turpiek

Bardzo byłem zadowolony z tej wyprawy. Osiągnąłem w pełni swój cel, a ponadto spędziłem czas w towarzystwie bardzo miłych i gościnnych ludzi. Pochodzący z Wysp Kanaryjskich (a

przodkowie pewno byli Portugalczykami, sądząc po nazwisku) Buenaventura Piñero wyjechał wkrótce na stypendium do Meksyku i nie spotkaliśmy się więcej. Podczas Kongresu Latinoamerykanistów w Bratysławie w lipcu 2004 roku z żalem dowiedziałem się od obecnych tam przedstawicieli Wenezueli, że zmarł bardzo młodo na raka. Wielka szkoda!

Święta Bożego Narodzenia postanowiliśmy spędzić na Wyspie Margarita. Dopiero teraz dość dobrze ją poznałem. Mieszkaliśmy, co prawda, w najmniej ciekawej na wyspie miejscowości, Porlamar, ale bez problemu udało nam się objechać całą wyspę i zobaczyć wszystkie najpiękniejsze plaże, a także kawałek bardzo ciekawego wnętrza Margarity, bo odwiedziliśmy w San Juan Bautista babcię Magaly Boadas, studentki z Instytutu Pedagogicznego, zaprzyjaźnionej z Luisem Floresem. Otóż San Juan Bautista wydało mi się jakąś magiczną, pełną swoistego czaru miejscowością, z gajami palm kokosowych i w ogóle dość bujną tropikalną roślinnością. Hiszpańską, kolonialną patynę ma nie tylko stolica wyspy La Asunción, bo w wielu miejscach rozsiane są małe kolonialne fortece. Trzy najpiękniejsze plaże to moim zdaniem El Agua z lasem smukłych palm kokosowych o przedziwnie powyginanych pniach, Manzanillo - wielka podkowa obrzeżona na obu krańcach wyniosłymi skalistymi klifami i Juan Griego, słynąca z najpiękniejszych zachodów słońca. Byliśmy na tarasie starej hiszpańskiej fortecy właśnie o zachodzie słońca i rzeczywiście

mogę potwierdzić: znów półkolista zatoka, nad nią czerwona tarcza zachodzącego słońca, a z tyłu imponujące szczyty gór sięgających ponad tysiąc metrów tworzą wspaniałą scenerię. Gdy teraz analizuję nasz tygodniowy pobyt na tej rajskiej wyspie, ogromnie żałuję, że nie obejrzelśmy wielu jeszcze ciekawych miejsc, nie zapuściliśmy się w góry... No cóż, to już w następnym wcieleniu!



Ibis tautaco

Na Wigilię jedliśmy typowe wenezuelskie danie świąteczne, które zwie się *hallaca*, *hayaca* lub *ayaca*. Drobno zmieloną i ugotowaną kukurydzę miesza się z posiekanym mięsem i mnóstwem dodatków (cebula, czosnek, ostra papryka, cynamon, gałka muskatołowa i tak dalej), po czym zawija się w liście bananowca tworząc zgrabną prostokątną paczuszkę zawiązaną włóknem roślinnym lub cienkim sznureczkiem. Jest to absolutna delicja! Podaje się zawsze na gorąco, bo jeśli nawet paczuszki przygotowano z dużym wyprzedzeniem – co zwykle się dzieje, gdyż gospodynie przygotowują na Święta ogromne ilości tych specjałów, by potem wymieniać się z rodziną i przyjaciółkami – łatwo je podgrzać w gorącej wodzie. Swoją drogą ta wymiana to wyjątkowo piękny zwyczaj. *Hallaca* jest symbolem wenezuelskości. Przebywając daleko od kraju, stęskniony Wenezuelczyk woła: „Wreszcie w tym roku będziemy jedli *hallacas* w Caracas!”. Gdy ktoś jest w niebezpieczeństwie może usłyszeć: „Oj, zdaje się, że w tym roku nie będzie pan jadł *hallacas*”. Nie muszę dodawać, że *hallaca* jest przysmakiem wywodzącym się z kuchni indiańskiej, jak wiele innych wyśmienitych wenezuelskich potraw.

Po wieczerze wigilijnej wyszliśmy na nocny spacer i nie zapomnę, jak rozbawiły nas rosnące przed hotelem kaktusy. Obwieszane kolorowymi migającymi światłem żarówkami pełniły rolę tropikalnych choinek. Wracaliśmy do Caracas samolotem, w którym huczało jak w hali maszyn. Zaniepokojony zapytałem

stewardesse, co to takiego, na co odpowiedziała z rozbijającą szczerością: „Jest jakaś awaria silnika, ale raczej dolecimy, proszę się nie martwić”. Zaiste nie wiem, jakim cudem ta wściekle warcząca machina nie eksplodowała w powietrzu...

Pożegnaliśmy Stary 1972 Rok, tak obfitujący w niezwykle wydarzenia i przywitaliśmy Nowy, 1973, u Josefiny Falcón, w jej pięknej willi o nazwie *Mamá Chi* (Mama Józia) w eleganckiej dzielnicy *Colinas de Vista Alegre* (Wzgórza Radosny Widok). Josefina ma bardzo liczną rodzinę, a ponadto zaprosiła moc gości, więc było dość tłoczno, ale sympatycznie. Oczywiście, jedliśmy znakomite *hallacas*, chyba jeszcze lepsze niż na Margaricie. O północy wybiegliśmy na zewnątrz, skąd roztacza się obszerny widok na leżące w dole miasto, które zamieniło się wtedy w jedną olbrzymią strzelnicę. Huk petard, rakiet i nie wiem, czego jeszcze, był ogłuszający. Wszędzie widać było płomienie i kłęby dymu, który wkrótce utworzył nad miastem wielką chmurę. Tak zabawiali się „milusińscy” mieszkańcy stolicy Wenezueli.

Gdy około 4-tej nad ranem Josefina i jej mąż, pan Ovalles, odwozili nas pięknym autem do domu i strzały jakby „już” umilkły, mieliśmy słodką nadzieję, że uda nam się trochę pospać w spokoju. Jakże płonna była to nadzieja! Ledwie wysiedliśmy z samochodu i pożegnaliśmy miłych gospodarzy przyjęcia, z potwornym trzaskiem jęła spadać po balkonach w naszym

budynku gigantyczna kaskada płomieni rozpryskujących się na wsze strony. To tak na powitanie w Nowym Roku! Nigdy czegoś takiego nie oglądały moje oczy i wiele dałbym za to, aby coś takiego nigdy więcej się nie powtórzyło. Tak oto „ogniście, płomiennie, a nade wszystko hucznie” zaczynał się dla nas Nowy 1973 Rok.

ciąg dalszy nastąpi

Część I wraz z życiorysem autora:

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/>



Mango



Turpiat

Od Łupi do Parany

i Amazonki. Część I.



Biblioteca Nacional, Caracas

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Jak to się stało, że właśnie Wenezuela? Kuba, Hiszpania, nawet

Francja były niejako częściowo uwarunkowane zewnętrzną sytuacją, z góry, w pewnym sensie, „narzucione”, zaprogramowane przez zainteresowania zawodowe. Wenezuela zaś to w pełni mój osobisty, suwerenny wybór dokonany samodzielnie po lekturze *Doñii Barbary* Rómulo Gallegosa, a także dzięki fascynacji ludową muzyką na harfę – cudowny instrument! Rómulo Gallegos niezwykle sugestywnie maluje w swojej powieści życie mieszkańców Llanos, tych bezkresnych równin zajmujących jedną trzecią część Wenezueli, stwarza jakąś tajemniczą, cudowną atmosferę opisując przebogata florę i faunę tego obszaru wielkości Polski, a ponadto nie tylko w dialogach, ale i w narracji używa bardzo malowniczego tamtejszego języka, który stał się punktem wyjścia moich badań leksykalnych. Głębokie tony harfy także tkają kanwę jakiegoś muzycznego misterium. Tak przynajmniej to odbierałem. Może to była konieczność stworzenia sobie baśni na prywatny użytek, baśni w odległym, nieznanym, tajemniczym świecie?

I tak stworzyłem dla siebie własny, baśniowy obraz tego kraju i starałem się maksymalnie pogłębić wiadomości na jego temat czytając książki wypożyczone z biblioteki Ambasady Wenezueli w Warszawie. Ambasadorem był wówczas poeta Vicente Gerbasi (1913-1992), a sekretarzem Roy Chaderton (ur. w 1942 roku), z którym często utrzymywałem kontakty. Zabiegałem o to, by jak najczęściej przebywać w towarzystwie Wenezuelczyków z nadzieją, że w ten sposób dowiem się czegoś ciekawego o ich

kraju. Kiedyś poznałem wenezuelską pianistkę polskiego pochodzenia Evę Marię Zuk, która wyszła za mąż za Meksykanina i od ślubu mieszka z nim w Meksyku. Zagadnąłem ją, który z tych trzech krajów uważa za swoją ojczyznę. Odparła: „Gdybym miała oddać życie za jakiś kraj, byłaby to z pewnością Wenezuela”. No proszę, pomyślałem sobie. Jeśli tak mówi młoda atrakcyjna dama, to w istocie ten kraj musi być nadzwyczajny. Zupełnie nie brałem pod uwagę faktu, że Eva Maria Zuk urodziła się, spędziła dzieciństwo i wczesną młodość właśnie w Wenezueli i że w jej sytuacji taka odpowiedź była czymś naturalnym. Mnie wszakże posłużyła do wzbogacenia mojego baśniowego obrazu Wenezueli.

Teraz, od momentu wylądowania na lotnisku Maiquetía w dniu 1 maja 1972 roku, miała nastąpić konfrontacja mojego prywatnego mitu z rzeczywistością. Lotnisko znajduje się tuż nad Morzem Karaibskim, 16 km od Caracas, które leży dość wysoko, 920 m nad poziomem morza, w wąskiej, długiej ponad dwudziestokilometrowej dolinie u stóp pasma zwanego Kordylierą Nadmorską, z górującym nad miastem szczytem Ávila (2137 m). Mit wciąż działał, więc po drodze do stolicy oczarowały mnie migające przed oczami kolorowe domki stłoczone na stokach gór. Dopiero potem miałem okazję im się przyjrzeć. Okazało się, że są to *ranchitos*, czyli zwykłe slumsy sklecone z byle czego na wzgórzach zwanych *cerros*. Taka jest wizytówka stolicy Wenezueli od strony lotniska. Później

dowiedziałem się, że w tych *ranchitos* pokrywających szczerlnie stoki *cerros* wokół miasta mieszka połowa ludności dwumilionowej wówczas stolicy.

Wjechaliśmy do centrum handlowego. Wśród niskiej, niezbyt ciekawej zabudowy strzelają tu i tam okazałe wieżowce. Najstarsza część miasta jest niewielka i skromna. Całkowicie tonie w powodzi współczesnej tandety architektonicznej. Najciekawszy jest mały Plac Bolívara, z fontannami, pięknie zadrzewiony. Pod konarami rozłożystych drzew pomnik generała na koniu (pomniki Bolívara są wszędzie!), a po najwyższych gałęziach próbują się poruszać niezwykle powolne leniwce, jakże zasługujące na swą nazwę! Zawsze jakaś grupka przechodniów z zadartymi głowami wpatruje się w nie z ciekawością. W rogu placu interesująca bryła katedry z XVII wieku, dalej klasztor i kościół św. Franciszka z 1574 roku i dwa przylegające do siebie najciekawsze w mieście domy kolonialne: dom, w którym w 1783 roku urodził się bohater narodowy Wenezueli, Kolumbii, Ekwadoru, Peru i Boliwii – Simón Bolívar oraz siedziba Muzeum Bolívara. Wysokie okna z żelaznymi kratami, ciekawe portale. I to niemal wszystko, gdy chodzi o kolonialne Caracas. Jeszcze daleko stąd, u stóp góry Ávila, willa Anauco, siedziba Muzeum Sztuki Kolonialnej. Te nieliczne okazy z epoki kolonialnej kilkakrotnie odbudowywano po częstych tutaj trzęsieniach ziemi.



Katedra, Caracas

Jednak prawdziwą wojnę zabytkom Caracas wydali sami władcy miasta, wyburzając począwszy od połowy XX wieku wszystko, co miało związek z przeszłością, by wznieść wysokościowce i wybudować ogromne autostrady okalające czy wręcz przecinające miasto. Z wyjątkiem malutkiego starego miasta pieszy nie ma w Caracas najmniejszych szans: większość ulic poza centrum pozbawiona jest chodników, a ruch samochodowy jest niezwykle intensywny. Miasto stworzone jest wyłącznie dla

zmotoryzowanych. Nie należałem do nich, toteż nie dziwota, że nie przypadło mi do gustu. Nie zawiodła mnie, jak zwykle, wyjątkowo piękna tutaj tropikalna roślinność. Chyba w żadnym innym tropikalnym mieście nie widziałem takiej ilości cudownie kwitnących drzew i krzewów. Zachwyciły mnie zwłaszcza ogromne *bucares* (*Erythrina poeppigiana*) z wielkimi ognistoczerwonymi kielichami kwiatów oraz fioletowo kwitnące *guarupas* (*Jacaranda filicifolia*), wiele różnorodnych gatunków palm, zbite kępy bambusów...

Najwięcej pięknej roślinności można zobaczyć na wzgórzach zabudowanych eleganckimi willami. Wzgórza te zwą się *colinas* w odróżnieniu od *cerros* pokrytych slumsami i znajdują się w bezpiecznej odległości od tych ostatnich. Czytelnikom nie znającym języka hiszpańskiego wyjaśniam: *cerro* i *colina* to synonimy oznaczające wzgórze, górę, ale to pierwsze słowo ma charakter bardziej gminny, pospolity, niż to drugie. Na *colinas* mieszkają najzamożniejsi, w willach-fortecach otoczonych często wysokimi murami. Zarówno tu, jak i w innych eleganckich dzielnicach, położonych tuż u stóp góry Ávila, w każdej takiej willi jest przynajmniej jedna służąca (najczęściej Mulatka) i jeden ogrodnik-kierowca w jednej osobie. Służące pracują w każdej zamożniejszej rodzinie wenezuelskiej i czasami traktowane są przez właścicieli jak niewolnice w epoce kolonialnej. Oto jeden z kontrastów: szerokie autostrady z rwącymi potokami aut, nowoczesne wieżowce i ... służące-niewolnice.

Zamieszkałem w handlowej dzielnicy Chacaíto, we wschodniej części miasta, w niewielkim jednopiętrowym budynku przy Alei Franciszka de Mirandy 28. Właścicielka mieszkania, Doña Luisa Olavarrieta, starsza, ale wciąż elegancka i zadbana dama, była bliską przyjaciółką Eduarda i jego rodziny. Nazywali ją wszyscy „Luisita” (Ludwisia). Miała kudłatego białego psa o imieniu „Prince”, a ponieważ ta rasa nazywa się po hiszpańsku *perro de Pomerania* (pies pomorski), pani Ludwisia twierdziła, że jest moim rodakiem. Namiętnie oglądała (już wtedy!) brazylijskie seriale w telewizji, przeżywając niebywale perypetie ich bohaterów. Była też wielką miłośniczką *zarzuelas* (hiszpańskich operetek) i wciąż zapraszano ją na śluby i wesela. Pewnej soboty zdarzyło jej się być na trzech kolejnych ślubach!

Od początku mego pobytu jeździłem autobusem do położonej w starym centrum Biblioteki Narodowej. Mieściła się w dawnym klasztorze św. Franciszka, zwanym obecnie Pałacem Akademii (mieszczą się w nim również trzy czy cztery sekcje Akademii Nauk). Muszę przyznać, że niełatwo było mi się skupić na lekturze traktatów lingwistyczno-etnologicznych w wilgotnym, dusznym upale dochodzącym czasem do 30 stopni (wewnątrz nie było klimatyzacji). Mimo wszystko, z uwagi na wysokie położenie Caracas, upał był o wiele znośniejszy, niż w Hawanie. Zwłaszcza noce były przyjemnie ciepłe, z lekką bryzą, nigdy upalne. Pod wieczór chodziłem do pięknego ogrodu naprzeciwko domu Doñii Luisy. Siadałem na ławce w cieniu i czytałem. Niestety, podczas

jednej z takich wizyt podszedł do mnie jakiś malec i rzekł: „Mój dziadek nie lubi, kiedy pan tu przychodzi”. Przeprosiłem i na tym skończyło się odwiedzanie tego miejsca, którego właścicielom przeszkadzała moja dyskretna obecność. Pozostawała mi ruchliwa arteria do spacerów jej niebezpiecznym skrajem. Kiedyś późnym wieczorem nagle tuż przy mnie zatrzymało się jakieś auto, z którego „wysypała się” – niby to przypadkiem wprost na mnie – całkiem młoda „wesoła” Mulatka. Auto odjechało i wywiązał się między nami taki oto dialog:

Ona: Idziemy?

Ja: Idziemy!

Ona: A dokąd?

Ja: No, na przykład, na Plac Wenezuelski (było to dobre 3 km stamtąd).

Ona (kładąc mi rękę na ramieniu i z żalem w głosie): Ależ kochanie, ja pracuję!

Przez pierwsze cztery miesiące byłem stypendystą rządu wenezuelskiego i poza pracą w Bibliotece Narodowej odbywałem rozmowy i wywiady z etnologami, etnografami i dziennikarzami w różnych instytucjach naukowych i redakcjach czasopism (*El*

Nacional, Imagen). Odwiedziłem między innymi siedzibę Towarzystwa im. Bolívara (*Sociedad Bolivariana*) i odbyłem rozmowę z jego ówczesnym prezesem Pedro Grasesem. W Instytucie Folkloru rozmawiałem z wybitnym etnologiem Luisem Felipe Ramónem y Riverą, a w Narodowym Instytucie Kultury i Sztuk Pięknych (INCIBA) moim rozmówcą był Luis Arturo Domínguez, autor interesujących prac na temat literackiego i muzycznego folkloru Wenezueli. W siedzibie Wenezuelskiej Akademii Języka Hiszpańskiego przyjął mnie jej dyrektor, wybitny krytyk literacki Ojciec Pedro Pablo Barnola. Wszystkie te interesujące rozmowy i spotkania aranżował Eduardo, któremu zawdzięczam właściwie wszystko, gdy chodzi o mój pobyt w Wenezueli. Przed wyjazdem do Watykanu, gdzie objął stanowisko ambasadora Wenezueli przy Stolicy Apostolskiej, towarzyszył mi także w czterech wyprawach: 1. na Wyspę Margarita przy wschodnim wybrzeżu Morza Karaibskiego, 2. do wioski Colonia Tovar, w górach, 60 km na zachód od Caracas, 3. na miejsce bitwy pod Carabobo, która w 1821 roku zadecydowała o niepodległości Wenezueli, 4. na plażę Chichiriviche, około 50 km na zachód od Caracas.



Pierwsza wyprawa była najdalsza i chyba najciekawsza. Jechaliśmy nocą do Puerto La Cruz na wschodnim wybrzeżu, przecinając wspaniałe lasy tropikalne i plantacje kakao. Wychylałem się przez okno samochodu i chłonałem to wszystko

całym sobą, nie mogąc nasycić się cudowną wonią kipiącej po obu stronach drogi roślinności. Śmignął nam w pewnym miejscu *rabipelado* (*Didelphis marsupialis*), czyli torbaczek zwany dydelfem. Pisząc te słowa sam zastanawiam się, dlaczego tak bardzo kocham najgłębszą z możliwych miłości ten tropikalny, kolorowy świat, pełen cudownych zapachów i barw, niesamowicie pięknych form, fantastycznie wkomponowanych w krajobraz. Odpowiedź tkwi w samym pytaniu i już właściwie nic nie muszę dodawać. Od maja do października trwa w Wenezueli pora deszczowa, czyli „zima” (co nie odnosi się w najmniejszym stopniu do niższych temperatur, a do faktu, że bardzo często padają ulewne deszcze). Przeżyliśmy taką tropikalną, może godzinną ulewę, po której zaraz wypogodziło się, a za jakiś czas wstało prażące słońce.

Z Puerto La Cruz po 4 - 5 godzinach podróży promem dotarliśmy na oddaloną o jakieś 120 km Wyspę Margarita, której rozmiary 84 x 42 km pozwalają w krótkim czasie dość dokładnie ją poznać. Wyspa słynie z pięknych plaż (dopiero pół roku później mogłem to w pełni docenić), hodowli ostryg i połowu pereł, stąd jej nazwa Margarita, co po grecku znaczy „perła”. W drodze powrotnej, tuż za Puerto La Cruz, zwróciłem uwagę na obsypane pięknymi złotymi kwiatami drzewa zwane *araguaney* (*Tabebuia spectabilis*). Rosły na wzgórzach pokrytych suchymi, kolczastymi krzewami i niskimi drzewami. *Araguaney* to narodowe drzewo Wenezueli. To piękna tradycja w Ameryce Łacińskiej: każdy kraj

ma swoje narodowe drzewo, kwiat i ptaka. Takim narodowym kwiatem jest orchidea (także na Kubie), a ptakiem – wspaniały śpiewak, czarno-żółto-biały *turupial* lub *turpial* (*Icterus icterus*), bardzo często hodowany w klatkach. Nie ukrywam, że mieliśmy zamiar, żona i ja, przywieźć takiego *turpiala* do Europy, ale chyba dobrze się stało, że tego w końcu nie zrobiliśmy. Pewno wkrótce dokonałby żywota w tej naszej zimnej, mglistej i smutnej części świata, głównie z tęsknoty za słońcem i rajskim otoczeniem.

Colonia Tovar to niemiecka wioska położona na wysokości 1700 m, założona przez osadników ze Schwarzwaldu w roku 1851. Klimat idealny ze względu na wysokość. Szachulcowe konstrukcje domów i kuchnia typowo niemieckie (znakomite strudle). Pole bitwy pod Carabobo znajduje się 220 km na zachód od Caracas, 38 km za miastem Valencia. Góruje nad nim monumentalny pomnik Bolívara. Jest plan sytuacyjny bitwy, płaskorzeźby przedstawiające poszczególne jej fazy.

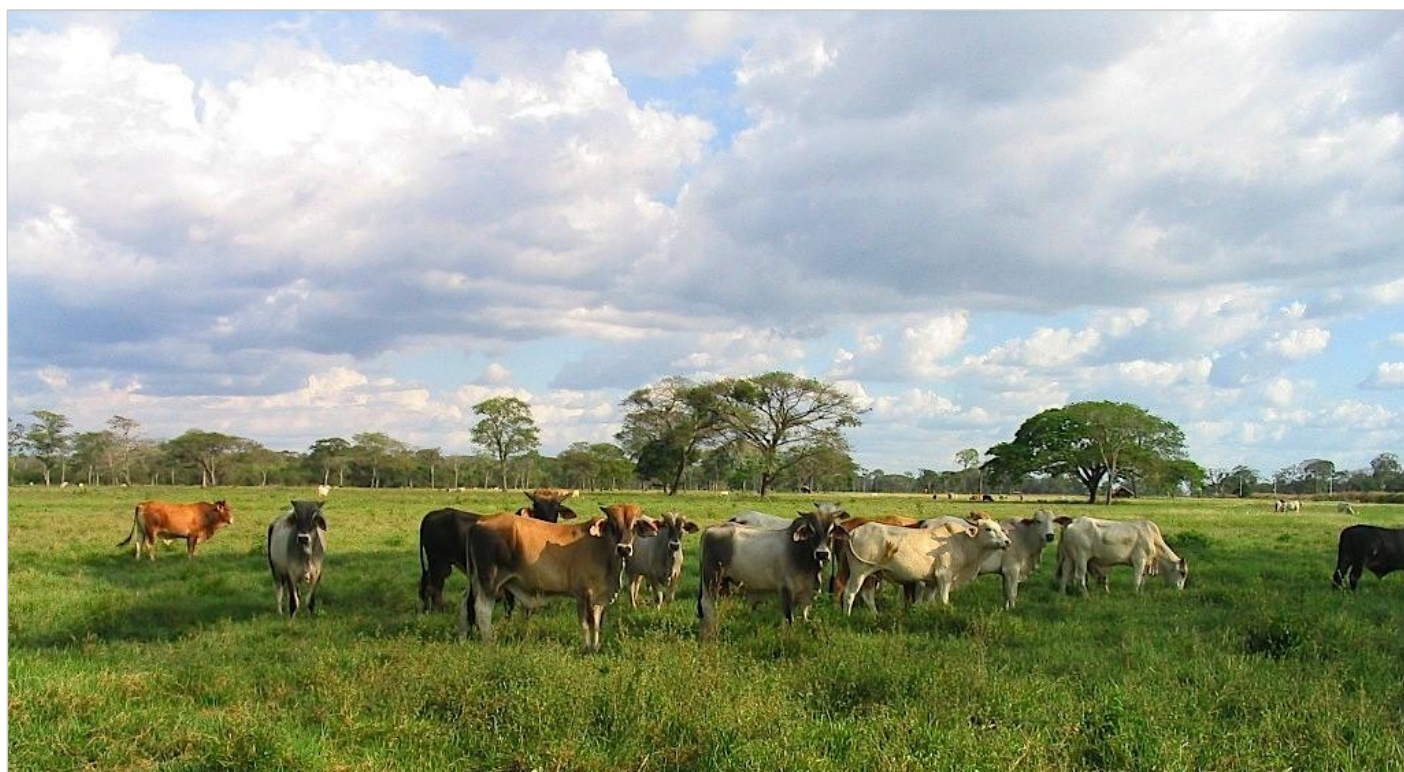
Wspaniałym przeżyciem był wypad na plażę Chichiriviche de la Costa w obecnym stanie Vargas, około 30 km na zachód od lotniska w Maiquetía. Plaża znajduje się nad zatoczką w kształcie muszli. Wpada do niej mała rzeczka. Od strony lądu palmy kokosowe, piękna roślinność. Miejsce trudno dostępne z uwagi na karkołomną górską drogę dojazdową. Wysoko na wzgórzach ogromne drzewiaste kaktusy *cardones*. Za lasem, jeden kilometr

w głębi lądu, murzyńska wioska o tej samej nazwie Chichiriviche. Po raz pierwszy w życiu spędziłem dwie noce w hamaku. Spało się znakomicie.

Dzięki Eduardowi pokochałem kuchnię wenezuelską. Już pierwszego dnia zaprosił mnie na kolację do specjalizującej się w daniach narodowych restauracji „ El Portón” (Wrota). Od razu podano *arepas* – okrągłe bułeczki z mąki kukurydzianej, ze śmietaną. Zastępują one w Wenezueli chleb i nawet portugalscy imigranci, których w Caracas bardzo dużo (są głównie właścicielami małych sklepików spożywczych), po powrocie do Portugalii zakładają restauracje, gdzie można je zamówić. Widziałem takie knajpki na Maderze. Zafascynował mnie także krem z malutkich małży morskich *chipi-chipi*. Oprócz *arepas* i zamiast kartofli czy o wiele powszechniejszego tu ryżu, jako składnik drugiego dania podaje się *cachapas*, grube, intensywnie żółte naleśniki z kukurydzy. Są przepyszne! Liczne potrawy z kukurydzy, na których opiera się kuchnia wenezuelska, to przysmaki indiańskie ochoczo zaakceptowane przez wszystkich Wenezuelczyków, także białych przybyszów z Europy, wśród których najwięcej jest Włochów, Hiszpanów i Portugalczyków.

Kilka zdań należy poświęcić owocom tropikalnym. Takiego bogactwa i różnorodności gatunków nie widziałem w żadnym innym kraju. Mówiono mi, że w Wenezueli istnieje ponad sto odmian samych bananów. Najcudowniejszym, prawdziwie

rajskim owocem jest Mango (tak, świadomie piszę tę nazwę dużą literą, inaczej nie uchodzi!), którego smak, aromat, soczystość wywołują u konsumenta poczucie absolutnego spełnienia. Jedząc Mango doznaje się uczucia pełni doskonałości smakowej, jakiejś kulinarnej nirwany, całkowitego oderwania od codzienności, odfrunięcia na niebiańskie wyżyny genialnej perfekcji. Aż dziw, że dotąd nie wzniesiono pięknego pomnika Mango...



Llanos, Wenezuela

Na słynne równiny Llanos de Apure, tak sugestywnie opisane w powieściach Gallegosa, poleciałem sam. Nie sposób w paru zdaniach oddać różnicy między wrzaskliwym, szalonym, pulsującym niesamowitym rytmem Caracas, a tą głuszą, w której

czas całkiem się zatrzymał od przybycia Kolumba, a może i od wcześniejszych epok. Po spędzeniu dwóch dni w zapadłej stolicy stanu Apure, sennym mieście San Fernando, położonym nad drugą co do wielkości (po Orinoko) rzeką Apure, poleciałem malutką wojskową awionetką do hacjendy hodowlanej Trinidad de Arauca, co znaczy Święta Trójca nad Arauką, kolejnym wielkim dopływem Orinoko. Lepiej nie mogłem trafić: rzeka Arauca jest rozślawiona na całą Amerykę Łacińską dzięki piosence będącej nieformalnym, drugim hymnem narodowym Wenezueli. Zaczyna się od słów: „Urodziłem się nad bystrym nurtem Arauki. Jestem bratem rzecznej piany, czapli, róż i słońca!” Jeszcze i ten obraz wzbogacał moją osobistą mitologię Równin. Szukałem jej potwierdzenia w rzeczywistości i o dziwo, wiele z jej wątków odnalazłem.

Już widok jeźdźców na koniach pędzących po bezkresie rozlewisk i rozpryskujących ogromne strugi wody, jakby znieruchomiałe w mojej optyce obserwatora z awionetki lecącej 300 metrów nad ziemią, idealnie pokrywał się z wizją Gallegosa. Nad sawanną przelatywały stada śnieżnobiałych czapli i szkarłatnych ibisów. Nie, stanowczo nie potrafię wyrazić tej bolesnej niemal radości, jaką odczuwałem patrząc na ten pejzaż tuż pode mną. Czułem się wyróżniony, ogromnie wyróżniony przez Boga i tylko myślałem, że choćby dla takich chwil warto, warto żyć! A swoją drogą dlaczego nikt nie kręci filmów ukazujących to nieprawdopodobne piękno wenezuelskich Równin podczas ciężkiej pracy

tamtejszych kowbojów, zamiast tych kretyńskich amerykańskich filmideł, gdzie wciąż leje się krew i dominuje przemoc? Dlaczego ludzie tak kochają brzydotę i zło, wszystko, co ohydne, barbarzyńskie, odrażające? Oj, nie najlepiej to świadczy o naszych bliźnich!

Decyzją właściciela hacjendy, José Natalio Estrada, starszego pana, który popenił dość kiczowaty poemat symfoniczny pod tytułem *María del Llano* (Maria z Równin) zamieszkałem w tak zwanej „klatce” (*la jaula*), białym baraku krytym falistą blachą. Miało to dwa zasadnicze plusy: był tam działający prysznic i hamak do spania, oba niezwykle istotne wobec nieustannego, **potwornego** upału. Nie było żadnych mebli poza stołem, na którym położyłem walizkę i magnetofon do nagrań wywiadów z mieszkańcami hacjendy. Muszę przyznać, że wyglądało to dość surrealistycznie. Na drugim hamaku co jakiś czas spał pracujący w hacjendzie kowboj Pedro Emilio Sánchez. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że był także znanym śpiewakiem z Równin. Umarł przedwcześnie w 1981 roku.

Rozmawiałem głównie ze starszym panem, który nazywał się Luis Magín Aranguren. Polecił mi go właściciel hacjendy dodając: „Ten staruszek dużo wie!”. W istocie wiedział bardzo dużo. Potrafił szczegółowo opisać każdego ptaka, każdą roślinę, ponadto sypał anegdotami, recytował ludowe wierszyki, opowiadał własne przygody. Był wspaniałym rozmówcą, a

jednocześnie miał w sobie dużo naturalnej godności. Nagrania z jego udziałem były dla mnie ogromną przyjemnością, choć pod koniec pot łał się ze mnie strumieniami. Otoczenie było szczególne. Tuż obok hacjendy toczyła swe czekoladowe wody szeroka Arauca. Na jej środku wyspa Angelero, skąd dochodziło niesamowite chrapanie małych wyjców, zwłaszcza o świcie i pod wieczór. Spotykano na jej brzegach także kajmany, gdzie indziej niemal wytępione ze względu na cenną skórę. Na wielkich liściach palm i w koronie drzew na podwórku przesiadywały gromadnie *tautacos* (*Theresticus caudatus*), czyli nieco inny gatunek ibisów o szaro-białym upierzeniu. Ustawicznie słychać było ich monotonny, bardzo głośny, urywany krzyk. Pod wieczór milkły zupełnie. Na środku podwórka wielkie drzewo – kurnik. W Wenezueli to zjawisko powszechne: kury zwawiej fruują niż w Europie i są zdolne pofrunąć na gałęzie drzewa, które traktują jako grzędę do spania.



Ocelot

Już pierwszej nocy zakradł się na nie *cunaguaro* (*Felis tigrina*), kot nieco mniejszy, niż ocelot, o pięknym, cętkowanym jak u jaguara futrze. Spłoszony skoczył z drzewa na dach baraku, w którym spałem. Tam zastrzelił go kierowca Gamarra. Proszę sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy w środku nocy usłyszałem strzały i huk jakiegoś ciężaru spadającego na dach, a potem toczącego się w dół. Powtarzam: była to moja pierwsza noc w hacjendzie. Wyobrażałem sobie, że to Indianie *Yaruros* z drugiego brzegu Arauki zaatakowali hacjendę, wszak Gallegos

pisał o nich jako o dość wojowniczym plemieniu. Teraz wiem, że już w połowie XX wieku zostało ich niewiele, żyli w nędzy, pozbawieni pracy i rozproszeni. Nazajutrz pokazano mi winowajcę. Leżał rozciągnięty na drewnianym podwyższeniu, z roztrzaskanym pyskiem. Futro miał przepiękne! Bardzo mi go było żal.

Z drugiej strony remontowanej wówczas willi właściciela rosły jakieś krzewy, wśród których spacerowały wielkie tamtejsze „indyki” - *paují* (*Crax nigra*) o czarnych, lśniących piórach i kędzierzawym dużym czubie na głowie. Droga prowadziła w głąb sawanny. Bliżej rzeki z gałęzi wielkich drzew zwisały długie gniazda *arrendajos* (*Cacicus cela*), pięknych czarno-żółtych ptaków. Lubiłem chodzić nad Araukę, ale nie zapuszczałem się daleko w obawie przed jadowitymi wężami. Sceneria była nieprawdopodobna. Od zapadnięcia zmroku przez całą noc rozbrzmiewał wspaniały głośny koncert niezliczonej ilości insektów. Stanowił doskonałą chóralną kołysankę. Niebo usiane było zawsze mrowiem mocno i jakoś bardzo nisko świecących gwiazd. A jeszcze opowieści Gamarry o tym, jak upolował kapibarę w starorzeczu Arauki. Jej mięso uchodzi za wielki przysmak na Równinach. Przyznam, że nie wprowadziło mnie w zachwyt.

Mijały godziny i całe dni, a obiecana podróż łodzią w górę rzeki do miasteczka Elorza nie dochodziła do skutku. Już byłem

zniecierpliwiony bezczynnością. Nikt nie wiedział, o co mi chodzi, bo miałem przecież gdzie spać i co jeść i zupełnie nie wiedzieć czemu spieszyłem się do Caracas. „Po co do Caracas? Czy tu panu źle? Tu jest prawdziwe, wspaniałe życie!” Mimo tych zapewnień, posuwając się niemal do granicy niegrzeczności wymogłem na panu José Natalio, że nazajutrz pojedę konno wraz z kowbojami aż do odległego o 15 km folwarku Agua Verde (Zielona Woda), by po drodze przyjrzeć się, jak wygląda chwytanie dzikiego bydła na lasso, pędzenie świeżo schwytanych byków i krów wewnątrz stada oswojonych i wreszcie ujarzmianie tych dzikich poprzez ujeżdżanie i powalanie przez młodziutkich chłopców odpowiednim chwytem za ogon, a potem pieczętowanie tak poskromionego bydła rozpalonym żelazem z inicjałami właściciela. Ostatnie stadium, ujeżdżanie i pieczętowanie odbywało się już w zagrodzie, w samym folwarku. Zwłaszcza ujeżdżanie było ogromnie trudne. Narowiste zwierzę zrzucało wielokrotnie jeźdźca na ziemię zanim się poddało i pozwoliło powalić. Chłopcy - jeźdźcy mieli pod koniec tej zawziętej walki ubranie całe w strzępach. Mimo pozornego poskromienia, jedna z krów tak mocno uderzała głową o drągi ogrodzenia aż popełniła samobójstwo.

Podczas całej operacji kowboje mieli na mnie baczenie, ale parę razy znalazłem się w samym środku akcji chwytania na lasso rozjuszonego i wściekle szarpiącego się byka. Poza tym straszli, gdy przedzieraliśmy się przez rozlewiska: „Proszę uważać! Pod

wodą mogą być kajmany!”. Nie miałem podstaw, by im nie wierzyć, bo po drodze widzieliśmy *babos* (*Caiman sclerops*), nieco mniejszych i mniej agresywnych kuzynów kajmanów, które też mają zęby nie od parady. Podnosiłem więc wysoko stopy na wypadek, gdyby jakiś kajman chciał mi je napocząć i czułem się pewniej dopiero gdy wynurzyłem się wraz z koniem ponad powierzchnię wody. Sama jazda konna przez soczystą, intensywnie zieloną sawannę była czymś niezapomnianym. Co jakiś czas mijaliśmy siedzące na drzewach i brodzące w rozlewiskach stada białych czapli i szkarłatnych ibisów, które podrywały się do lotu. Przysięgam, że rzadko widywałem coś równie pięknego, chyba nigdy! Młode ibisy są jeszcze różowe, ale dorosłe mają pióra tak intensywnie szkarłatne, że na tle ciemnozielonego dywanu sawanny takie przelatujące stado wygląda nieziemsko pięknie. Dla Europejczyka taki obraz jest ucieleśnieniem absolutnie cudownym jakiejś baśniowej sceny, którą widział w dzieciństwie na ilustracji lub w kinie na przepięknym radzieckim filmie rysunkowym. Tak, bo te radzieckie filmy rysunkowe dla dzieci były przepiękne.

Na kolację było, oczywiście, świeżo upieczone mięso wołowe z owej krowy, która sama się zabiła. W momencie, gdy kowboje układali się w hamakach do snu, przyszło mi do głowy, by dyskretnie zapytać jednego z nich, gdzie jest toaleta. „Toaleta? – odparł lekko zdziwiony. A tu wszędzie dookoła, gdzie tylko pan sobie życzy!”, przy czym wykonał ręką odpowiedni szeroki gest.

Nagle uświadomiłem sobie, jak dalece śmieszne, by nie powiedzieć idiotyczne było moje pytanie. Na drugi dzień był już tylko powrót konno do hacjendy Trinidad de Arauca. Nabrałem takiej pewności siebie, że jechałem już całkiem szybkim truchtem. Wyprzedzał mnie Juan Ramón i śpiewał pięknie improwizując. Ten jego improwizowany śpiew przy zachodzącym słońcu, pośrodku cudownej, zielonej, bezkresnej wenezuelskiej Równiny, był godnym końcowym akcentem mego pierwszego pobytu na Wielkich Równinach.



Wielkie Równiny

Cała ta wyprawa należy do najcudowniejszych przeżyć w moim życiu. Ileż w niej magii, tajemniczości, a przy tym sam się przekonałem, że Rómulo Gallegos miał po stokroć rację: to nie fantazja, to rzeczywistość, tyle, że magiczna. Ogrom Równiny Wenezueli, tak jak argentyńska pampa, wyzwala w ich mieszkańcach skazanych na samotność konieczność rozmowy z samym sobą, gdy obok nie ma kompanów. Stąd ta wspaniała improwizacja prawie zawsze w tonie pozytywnym, wyrażająca zachwyt dla całej krainy, konia, pracy na sawannie, tęsknotę za nieobecną tu dziewczyną. Może nieco idealizuję teraz to wszystko, ale wyprawa była naprawdę fascynująca, niezapomniana. Dzięki, dzięki wielkie, panie José Natalio

Estrada, dzięki, wspaniali jeźdźcy!

Już chyba w czerwcu 1972 roku nawiązałem kontakt z Wyższym Instytutem Pedagogicznym w Caracas, gdzie od października miałem rozpocząć pracę. Spotkałem tam moje dwie znajome z kursu w Maladze w 1967 roku, Josefinę Falcón de Ovalles i Ernestinę Salcedo. Obie wykładały na tej uczelni i dzięki nim poznałem osobę, z którą do końca pobytu w Wenezueli utrzymywałem najżywsze kontakty. Była to nauczycielka języka hiszpańskiego w znanym karakaskim liceum, Olivia Carmona. Jak większość intelektualistów wenezuelskich Olivia miała poglądy mocno lewicowe, by nie powiedzieć komunizujące. Z pewnością wiedziała, w jaki sposób trafiłem do Wenezueli, a mimo to właśnie z jej strony spotkało mnie najwięcej życzliwości. Bezpośrednim powodem jej poznania był fakt, że jej ojciec pochodził właśnie z Równin, z miasteczka Elorza nad rzeką Arauką. Nagrałem z nim bardzo długą rozmowę, podczas której czytał mi wiersze ludowych twórców z Równin. Było to na krótko przed jego śmiercią i Olivia prosiła mnie potem o to nagranie, by zachować na pamiątkę jego głos. Kolejnym mężem Olivii został wówczas Artajerjes Muñoz, bardzo młodo prezentujący się u jej boku wiotki efeb. Oboje towarzyszyli mi w kilku wypadach poza Caracas.

Najciekawszym był kolejny wyjazd na Równiny w Stanie Apure. Było to chyba gdzieś w okolicy San Juan de Payara, na południe

od San Fernando. Trwała pora deszczowa i przecinaliśmy ogromne rozlewiska (*esteros*) łodzią motorową sterowaną po mistrzowsku przez niezwykle sympatycznego, cały czas promiennie uśmiechniętego tubylca o ogorzałej od słońca twarzy. Dotarliśmy do jakiejś hacjendy stanowiącej małą zadrzewioną wysepkę w bezmiarze wód. Właściciel o wyglądzie patriarchy dał się namówić na wywiad ze mną. Niestety, nie zaopatrzyłem się wówczas w magnetofon, a notatki w zeszycie to jednak zdecydowanie nie to samo. W drodze powrotnej do Caracas, po przekroczeniu mostu na Apure za San Fernando skręciliśmy w prawo w kierunku miasteczka Guayabal, by zabrać stamtąd matkę Olivii. Gdy już wyjeżdżaliśmy na główną drogę do Caracas, ujrzeliśmy Metyskę niosącą na głowie wielki stos dużych, cienkich, okrągłych placków z maniokowej mąki, zwanych *casabe*. To indiański chleb w całym Basenie Morza Karaibskiego. Jak bardzo uwielbiają go nadal Wenezuelczycy miałem okazję się przekonać, gdy Olivia natychmiast zatrzymała samochód, kupiła kilka placków od owej kobiety i cała trójka jęła pałaszować je z wielkim apetytem. Mnie wydały się nieco suche i lekko wiórowate.



Na św. Jana pojechaliśmy razem do murzyńskiego miasteczka Curiepe, w regionie Barlovento (stan Miranda). Odbywa się tam wówczas wielki ludowy festyn i nocą mieszkańcy grają na długich drewnianych bębnach *mina* i krótszych *curbata* oraz innych instrumentach perkusyjnych, na przykład *quitiplás*, czyli bambusowych rurkach, którymi wybija się rytm uderzając o ziemię. Zabawa zakrapiana jest obficie gorzałką z trzciny cukrowej i rumem. Olivia, chcąc zachęcić pewną czarną *doñitę* (miłą panią), jak ją nazywała w rozmowie, do interesujących wynurzeń natury folklorystycznej, wręczyła jej butelkę rumu.

Aliści *doñita* okazała się na tyle niewdzięczna, że zawładnąwszy bezcennym łupem miast snuć ciekawe opowieści obdarzyła biedną Olivię wiązką soczystych inwektyw. Jeszcze raz potwierdziło się, że odpust czy to w Łowiczu czy w Curiepe to nie najlepsza okazja do zasięgania rzeczowych informacji.

W lipcu 1972 roku odwiedziłem dwukrotnie wenezuelską Gujanę, czyli wschodnią część stanu Bolivar, gdzie rozgrywa się akcja powieści *Canaima Gallegosa*. Obszar to zupełnie inny, niż Wielkie Równiny. Północną jego granicę wytycza środkowy i dolny bieg Orinoko, „Ojca” wenezuelskich rzek. Ogromną atrakcją turystyczną jest leżący stosunkowo blisko granicy z Brazylią płaskowyż zwany *Gran Sabana* (Wielka Sawanna), z którego wyrastają gigantyczne „stoły” skalne, zwane *tepuyami*, porośnięte tropikalną dżunglą. Ze szczytu jednego z nich, *Auyantepuy*, spada najwyższy na świecie Wodospad Angela, odkryty w 1935 roku przez amerykańskiego pilota o tym nazwisku. Ma ponad tysiąc metrów wysokości. Jego indiańska nazwa brzmi: *Churún Merú*.

W biurze podróży w Caracas, gdy czekaliśmy na autokar, który miał nas zawieźć na lotnisko, pojawiła się pani o europejskim wyglądzie w towarzystwie młodej ósóbki i spytała po hiszpańsku, czy ktoś z uczestników wyprawy mówi po niemiecku. Zgłosiłem się i zostałem opiekunem Helgi Geuer z Akwizgranu, młodej nauczycielki w szkole dla dzieci upośledzonych umysłowo

(*imbizile Kindern*). Helga co roku zwiedzała atrakcyjne zakątki świata, filmując je i robiąc przepowiednie. Po powrocie do Akwizgranu prezentowała te materiały swoim uczniom. Tym razem odwiedziła zamieszkałą w Caracas ciotkę (tę właśnie panią, z którą weszła do biura) i wybierała się tak jak ja do Canaimy w sercu wenezuelskiej Gujany. Poleciliśmy najpierw do Ciudad Bolivar, stolicy stanu. Nie zapomnę widoku szerokiej wstęgi Orinoko w dole. Potem kontynuowaliśmy podróż mniejszym samolotem, który poszybował daleko na południe mijając Canaimę, specjalnie po to, by zatoczyć koło w przepastnym skalnym kanionie słynnego Wodospadu Angela. Wszyscy przykleiliśmy twarze do okienek i z emocją przyglądaliśmy się tym spadającym z ogromnej wysokości masom wody i potężnym, pionowym ścianom skalnym. Choć samolocik zatoczył aż dwa koła, trwało to zbyt krótko, by nasycić wzrok tym cudownym widokiem.

Zaraz potem zawróciliśmy na północ i za parę minut lądowaliśmy w Canaimie. I znów baśniowa sceneria: rzeka Carrao (dopływ olbrzymiej Caroní, która wpada do Orinoko) tworzy tu rząd potężnych, rozdzielonych pasmami bujnej roślinności wodospadów zwanych *Salto Hacha* (Wodospad Siekiera), a te z kolei – spore jezioro o nazwie *Laguna de Canaima*. Prąd jest tak silny, że woda w jeziorze ciągle wiruje, aż wreszcie wypływa z niego jako szeroka, rwąca rzeka, zmierzając ku pobliskiej, jeszcze większej Caroní. Woda, na skutek naturalnych

barwników mineralnych i roślinnych, ma niesamowity zupełnie kolor coca-coli lub jeśli ktoś woli, przejrzystego wiśniowego soku. W niej, dość daleko od brzegu jeziora, rosną trzy piękne palmy. W tle ogromne stoły skalne. Sawanna przeplata się z dżunglą. Na brzegu jeziora zbudowano małą, śliczną wioskę dla turystów. Domki w stylu indiańskich chat, kryte strzechą. Obok wysoko położonej restauracji, z której roztacza się wspaniały widok na jezioro i wodospady, na drzewie, wielkie kolorowe ary (*guacamayos*). Ich opiekun czule rozmawia z nimi po węgiersku.

Już na miejscu poznaliśmy sympatyczną Mulatkę z holenderskiej wyspy Curaçao. Miała na imię Margarita i zupełnie nieźle mówiła po hiszpańsku. Nie miała żadnych kłopotów z porozumiewaniem się z Helgą: holenderski jest bardzo zbliżony do niemieckiego, a poza tym, zdaje się, obie znały trochę angielski. Byliśmy najmłodszymi uczestnikami tej wycieczki i trzymaliśmy się razem. We trójkę wybraliśmy się w dół rzeki Carrao dochodząc do dużej, okrągłej opuszczonej wówczas indiańskiej chaty. Takie pojedyncze chaty zwane *churuatas* mieszczą całą wioskę i są typowe dla Indian wenezuelskich. Na obszarze Stanu Bolivar mieszkają *Maquiritare, Panare, Piaroa, Shiriana*, a konkretnie tu, na Wielkiej Sawannie, *Pemonowie*, zwani także *Taurepanami*. Owa *churuata* należała więc z pewnością do tych ostatnich. W pobliżu spotkaliśmy indiańską rodzinę. On tulił w ramionach niemowlę, a ona właśnie piekła *casabe*, opisane wcześniej maniokowe placki. Obok, na poprzecznym drągu, wisiał *sebucán*,

długa rura pleciona z liści palmowych, do której przez jej górny otwór wsypuje się i ubija utarty gorzki maniok. Elastyczna konsystencja tego urządzenia powoduje, że pod wpływem ciężaru jego ścianki wyciskają z manioku trujący płyn, który zbiera się do stojącego pod *sebukanem* naczynia. Po zagotowaniu służy jako zupa oraz do przygotowania octu i miodu. Substancje trujące ulatniają się podczas gotowania.

Innym razem nasz „tercet egzotyczny” powędrował w górę Carrao, ścieżką przez dżunglę, w której, o dziwo, panowała zupełna cisza: nie słyhać było śpiewu ptaków, nie płoszyliśmy żadnych zwierząt. Doszliśmy do wielkiego leśnego muzeum „Rudy Jungle” (Dżungla Rudolfa). Przyjęli nas właściciele: ów Rudy i jego żona, oboje Holendrzy. Na ścianach wisiały wspaniałe trofea myśliwskie: skóry jaguara, kajmana, wielkiego mrówkojada, boa, anakondy, rogi tutejszych jeleni, spreparowane głowy tapirów, mnóstwo żywych i wypchanych kolorowych ptaków. Wróciliśmy do naszej wioski na przełaj przez sawannę. Na poszukiwanie diamentów pojechałem bez moich przyjaciółek: Helga była tak spieczona i obolała, że Margarita postanowiła zostać z nią w wiosce, by ją kurować. Najciekawsza była podróż łodzią wiosłową w tunelu utworzonym nad rzeczką przez gęste gałęzie drzew. Z ich konarów zwisały długie, brodate epifity, a wśród nich co jakiś czas wabiły wzrok prawdziwe klejnoty: piękne, liliowe orchidee. Potem było nudne grzebanie w piasku na dnie małego strumyka, przesiewanie tego piasku przez

duże, płaskie sita. W efekcie ktoś znalazł dwa malutkie diamenty, a reszta śmiertelnie się wynudziła...

Przez jakiś czas trwała korespondencja między Helgą a mną. Przesłała ładne zdjęcie, które zrobiła mi na częściowo zatopionej indiańskiej łodzi nad rzeką Carrao. Napisała też Margarita. Okazało się, że odwiedziła Helgę w Akwizgranie...

ciąg dalszy nastąpi



Quinta Anauco, Caracas

Zygmunt Wojski, ur. w 1941 r., absolwent filologii romańskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Studiował filologię hiszpańską i hispanoamerykańską na Uniwersytecie Hawańskim (Kuba), ukończył wyższy kurs filologii hiszpańskiej w Maladze i kurs szkoły badań lingwistycznych w Madrycie. Odbył studia doktoranckie na Uniwersytecie Warszawskim, a w 1984 r.

obronił pracę doktorską "Particularidades léxicas del español hablado en los Llanos de Venezuela" i uzyskał tytułu doktora nauk humanistycznych. Studia podyplomowe odbył w Institut d'Etudes Hispaniques na Sorbonie, pod kierunkiem prof. Bernarda Pottiera.

W latach 1972-1973 przeprowadzał badania nad hiszpańszczyzną mówioną w Wenezueli i prowadził seminarium z leksykografii hispanoamerykańskiej w Instituto Pedagógico Nacional w Caracas. Był też wykładowcą metodyki nauczania języka hiszpańskiego dla cudzoziemców w Instituto de Cultura Hispánica w Madrycie (1973-76). W latach 1976-2007 wykładał język i kulturę portugalską, gramatykę francuską i hiszpańską, historię i kulturę Ameryki Łacińskiej oraz historię języka hiszpańskiego w Instytucie Filologii Romańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie także prowadził proseminaria poświęcone hiszpańszczyźnie amerykańskiej.

W latach 1976-2006 prowadził badania lingwistyczne i wykłady na Kubie, w Meksyku, w Niemczech, we Francji, w Danii, w Hiszpanii, w Portugalii, w Brazylii, w Argentynie, w Gwatemali, w Urugwaju, w Panamie. W tym samym okresie przygotował serię sesji naukowych poświęconych kulturze i cywilizacji portugalskiej (poezja Camõesa i Pessoa, Lizbona, Madera, Azory, twórczość José Saramago, Amália Rodrigues).

W 1985 r. po raz pierwszy w historii Uniwersytetu Wrocławskiego wprowadził lektorat języka portugalskiego. W latach 1998-1999 był kierownikiem Zakładu Iberystyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Mimo, że w 2006 roku przeszedł na emeryturę, w latach 2007-2010 był starszym wykładowcą w Wyższej Szkole Zarządzania Marketingowego i Języków Obcych w Katowicach, a w latach 2011-2012 - starszym wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej im. Angelusa Silesiusa w Wałbrzychu.